

Najnowszy spektakl Krzysztofa Warlikowskiego

Demony w Ameryce

ANNA R. BURZYŃSKA

■ „Anioły w Ameryce” Warlikowskiego to przykład mistrzowskiego panowania nad sztuką teatralną: imponująca maszyneria widowiska uruchomiona w celu przedstawienia pełnej rozmachu epickiej opowieści. Niestety opowieść ta, choć dotyczy najbardziej zasadniczych problemów, nie wstrząsa tak mocno, jak powinna.

„Katolicy wierzą w przeznaczenie. Żydzi w winę” – mówi do jednego z bohaterów sztuki Tony’ego Kushnera rabin. Nie tylko żydzi: w spektaklu Krzysztofa Warlikowskiego wina, rozumiana zarówno jako piętno wyciśnięte na osobowości poszczególnych postaci, jak i ciężar dźwigany przez całe społeczeństwo, jest gruntem, na którym rodzą się dramaty i tragedie. Tak było już chociażby w „Burzy” i w „Dybuku”: ich bohaterowie zmuszeni zostali do bolesnego uświadamiania sobie win – własnych i odziedziczonych po przodkach – by móc rozpocząć żmudny proces oczyszczania i wyzwolenia.

W teatrze Warlikowskiego *katharsis* ma taki właśnie wymiar – ujawniania traum, odkrywania podświadomości, uświadamiania ukrytych motywacji działań. Wybór „Aniołów w Ameryce” jako sztuki „psychoanalitycznej” wydaje się więc oczywisty. W wywiadach poprzedzających premierę reżyser zapewniał, że jest to dramat uniwersalny, znakomicie nadający się do rozmowy nie tylko o szeroko pojętej kondycji ludzkiej, ale też o współczesnej Polsce.

Istotnie, te możliwości tkwią w wielowątkowym dramacie Kushnera i zespół TR Warszawa wykorzystał je znakomicie. Sztuka (w udanym przekładzie Jacka Poniedziałka, wyciszczonym z konkretów w rodzaju „nasz prezydent Reagan”) celnie opisuje napięcia, które dzieliły Amerykę lat 80. i tak wyraźnie ujawniają się w dzisiejszej Polsce. Z jednej strony – rozczarowanie kapitalizmem, próby szukania nowego wizerunku zarówno dla prawicy, jak dla lewicy, trudne rozrachunki z demonami przeszłości, przewartościowanie mitologii narodowej i rozumienia patriotyzmu. Z drugiej – kryzys wiary, rodziny, pogłębiająca się atomizacja społeczeństwa, karierowiczostwo i pracholizm; do tego seksualność, choroba i śmierć – kwestie tyleż najbardziej naturalne, co najbardziej kontrowersyjne.

Problem więc chyba nie w tematyce czy ideologii – Warlikowski znakomicie wyważył proporcje pomiędzy spektaklem osobistym, intymnym, a spektaklem zaangażowanym, w nienachalny sposób zmuszającym do rozmowy o tym, na co choruje nasze społeczeństwo. Problem tkwi moim zdaniem w emocjonalnej tonacji bardzo amerykańskiego tekstu Kushnera. Przysłowiowe „czy chcesz o tym porozmawiać”, nieustanne mówienie o uczuciach, afirmatywne „jesteście fantastycznymi ludźmi, wszyscy co do jednego”, kierowane do publiczności – wszystko to budzi śmiech, a w najlepszym wypadku nieufność i poczucie dystansu.

Warlikowski walczy ze słabościami sztuki Kushnera, budując dystans, przełamując

nastrój ironią i humorem. Raczej pyta, niż udziela odpowiedzi czy poucza; widz sam musi znaleźć odpowiedź na pytanie, co wynika z natłoku wątków i wydarzeń, w jaki sposób łączą się z pozoru nieprzystające do siebie sfery i estetyki. W monumentalnej, a zarazem lekkiej, robiącej wręcz niematerialne wrażenie scenografii Małgorzaty Szczęśniak spotykają się różne poziomy rzeczywistości: szpitalne łóżka i klub z rurą do erotycznego tańca, kirkut i tandetnie umeblowany mieszczański salonik, ale też Antarktyda czy przestworza stratosfery. Półprzeźroczyste drzwi i unoszące się ściany otwierają ten mikrokosmos na inne światy, w matowych lustrach o pofalowanej tafli odbijają się zniekształcone twarze bohaterów. Odbicia, podwójność, dwuznaczność organizują świat bohaterów „Aniołów w Ameryce”, co podkreślone jest już na poziomie podwójnej obsady wielu ról.

Inteligentne, kreatywne aktorstwo to mocna strona spektaklu. „Anioły w Ameryce” warto zobaczyć przede wszystkim dla „niemożliwego” duetu Roy M. Cohn (Andrzej Chyra) – Ethel Rosenberg (Danuta Stenka). Kat: cyniczny, zdeprawowany do szpiku kości prawnik, homofobiczny gej i Żyd-antysemita. I ofiara: żydowska komunistka, szpieg i zdrajczyni, ale zarazem – skazana po pokazowym procesie na śmierć matka dwójki dzieci. Ich osobliwa relacja, oparta na równoczesnym przyciąganiu i odpychaniu się podobieństw i różnic, skrzy się od najrozmaitszych emocji: od pogardy, nienawiści, lęku aż po erotyczne niemal napięcie.

Chyra tworzy postać tyleż odrażającą, co demonicznie uwodzicielską; genialnego gracza, który odrzucił kiedyś wszelkie dogmaty i dla którego jedyny dostępny wymiar prawdy to prawda umierającego ciała. Ziejący nienawiścią, za cenę poniżenia innych walczy o zachowanie resztek godności i w głębi duszy pragnie przebaczenia, które w końcu otrzyma – ale w postaci pośmiertnej modlitwy, ka-

diszu. Stenka z drobnych gestów, spojrzeń, sposobu, w jaki trzyma torebkę i poprawia kapelusz, brzmienia głosu, jakim wypowiada nieliczne kwestie swojej bohaterki, buduje hipnotyzującą kreację. Scena, w której Cohn zmusza Ethel, by zaśpiewała mu kołysankę w jidysz, to jeden z najczystszych momentów spektaklu – tragiczne zmaganie dwójki bohaterów po obu stronach wąskiej krawędzi między życiem a śmiercią.

Druga para, której losy ogląda się z przejęciem, to mormońskie małżeństwo Josepha i Harper Pittów. Bodaj najbardziej schematyczny z wątków – historia niekochanej, pogrążonej w depresji, zamkniętej w domu młodej żony i jej męża: konserwatysty-karierowicza i kryptogeja – dzięki zabiegom reżyserskim i pracy aktorów wygrany został konsekwentnie i prawdziwie. Znany do tej pory niemal wyłącznie z filmów i występów estradowych Maciej Stuhr, którego sposób bycia na scenie bardzo odbiega od gry stałych współpracowników Warlikowskiego, buduje bardzo przekonująco postać człowieka, który mimo woli odbyć musi wyprawę do mrocznego wnętrza własnej jaźni – i, w przeciwieństwie do innych bohaterów, z owej podróży do piekieł nie wróci oczyszczony. Maja Ostaszewska prowadzi postać Harper ze złudną lekkością; podkreślając dziecinność i naiwność swojej bohaterki, budzi rozbawienie publiczności. I właśnie ten humor (objawiający się także w tautologicznym ilustrowaniu jej przywidzeń) sprawia, że wolny od emocjonalnego szantażu widz może głębiej zastanowić się nad przyczynami choroby bohaterki, pragnie ją zrozumieć – a nie tylko współczuć. Temat miłości, rozpadu rodziny, szukania tożsamości i poświęceń, jakich ono wymaga (Harper niszczy siebie, Joe – innych), zostały tu wygrane czysto i poruszająco, bez zbędnego sentymentalizmu.

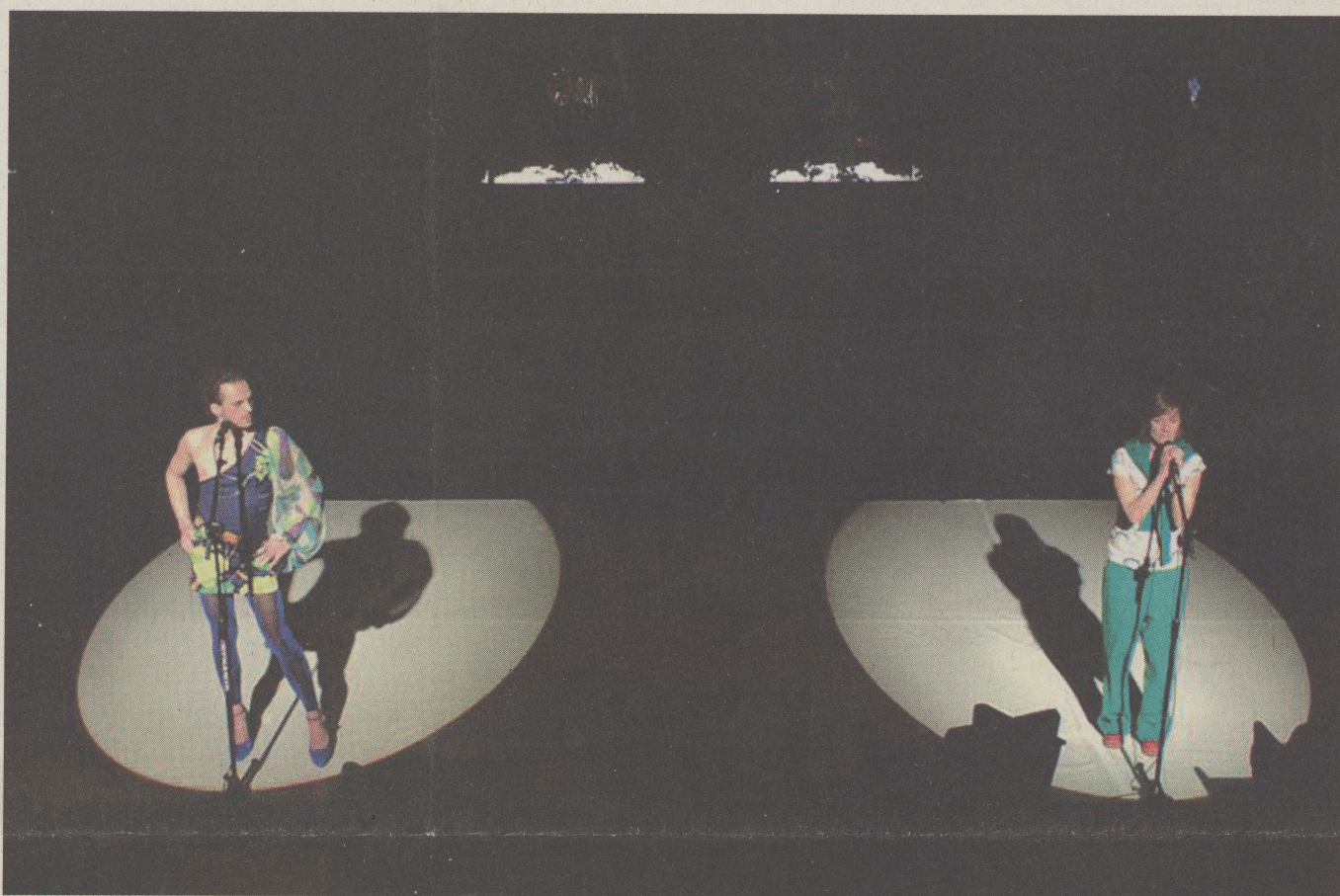
Nie przekonuje natomiast główny wątek sztuki: historia Louisa i Priora. Nieprzeko-

nujący nawet w obliczu śmiertelnej choroby i zdrady partnera Tomasz Tyndyk jako Prior kreuje postać tak bezbarwną i płytką, że trudno doprawdy wyobrazić sobie, co poza atrakcyjnym ciałem mógłby pokochać w nim inteligentny Louis (Jacek Poniedziałek). Także przemiana, jaką przechodzi po otrzymaniu od Boga proroczego daru, jest bardzo słabo zaznaczona. Warlikowski zdecydował się na mocny zabieg inscenizacyjny, upodabniając Priora do Chrystusa – ale jest to efekt czysto zewnętrzny. Mimo efektownej teatralnej formy nie udało się nadać odpowiedniego ciężaru fundamentalnym dla wymowy sztuki Kushnera scenom z Aniołem, co sprawia, że teologiczna warstwa dramatu – dotycząca przeznaczenia, stosunku Boga do stworzonego świata i ludzi do Boga, posłannictwa i buntu wobec absolutu – wydaje się zupełnie nieistotna. Jak na dłoni widać za to wszelkie słabości tekstu: jego łzawy sentymentalizm i pretensjonalność symboliki.

❖

Zdaję sobie sprawę, że „Anioły w Ameryce” to spektakl niezwykle trudny, który przez ponad sześć godzin wymaga od aktorów maksymalnego skupienia i utrzymania przez cały ten czas najwyższej temperatury emocjonalnej. Wiem też, że wiele scen powstawało w przedpremierowym pośpiechu. Wierzę więc, że podobnie jak „Dybuk”, spektakl będzie kondensował się i gęstniał, a kreacje aktorskie będą dojrzywały i nasycaly się prawdą emocji. Wtedy nie tylko problem winy, kary i przebaczenia, ale też przeznaczenia i trudnej miłości – z tego i nie z tego świata – wybrzmia z pełną mocą.

TONY KUSHNER, „ANIOŁY W AMERYCE”, reż.: KRZYSZTOF WARLIKOWSKI, tłum.: Jacek Poniedziałek, scenogr.: Małgorzata Szczęśniak, muz.: Paweł Mykietyn, reż. światła: Felice Ross. Premiera w TR Warszawa 17 lutego 2007.



Tomasz Tyndyk i Maja Ostaszewska w spektaklu „Anioły w Ameryce”